

Temat tygodnia

- 12 Rafał Kalukin
Pani premier
– produkt zastępczy

Polityka

- 16 Rozmowa z I Prezes
Sądu Najwyższego
prof. **Małgorzatą Gersdorf**
o kryzysie sędziowskim
w stulecie Sądu Najwyższego
- 20 Adam Szostkiewicz
Episkopat krytykuje
władzę. Delikatnie
- 24 OGLĄD i POGLĄD
Sławomir Sierakowski
Między dyktaturą a tyranią

Społeczeństwo

- 26 Violetta Krasnowska
Co państwo ukrywa
przed obywatelami
- 29 Psychiatra dr **Stanisław M.**
Teleński opowiada
o młodych zabójcach
- 32 Joanna Cieśla
Polacy przygotowują
konkurs Mr Gay Europe

Rynek

- 34 Adam Grzeszak
Polska atomowa
czy węgłowa?
- 36 Rozmowa z prof. **Thomasem**
Straubhaarem o dochodzie
podstawowym jako rewolucji
podatkowej
- 39 Ryszarda Socha
Pseudohotele – zarabianie
kosztem sąsiadów

Świat

- 42 Ala Qandil GRECJA
Uchodźcy się urządzają
– historia jednej rodziny
- 46 Marek Świerczyński
BIAŁORUŚ **Zapad-2017,**
czyli Rosja manewruje
- 48 Rozmowa z francuskim
politologiem **Dominique**
Moïsim o sile i słabościach
prezydenta Macrona

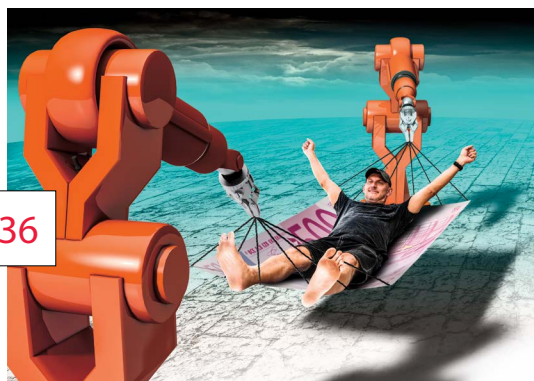
Historia

- 50 Norbert Bączyk
Armia Czerwona
a powstanie warszawskie



20

Biskupi mają wątpliwości



36

1000 euro dla każdego



56

Co sonda Cassini widziała



92

Fotoreportera wojennego wojny z rzeczywistością

- 53 Tomasz Targański
Zaleszczyki – kurort
II Rzeczypospolitej

Nauka

- 56 Przemek Berg
Pracowity koniec
sondy Cassini
- 59 TECHNOECHO
- 60 **15 finalistów Nagród**
Naukowych POLITYKI 2017

Kultura

- 66 Bartek Chaciński
Opole z Marylą i nie tylko
- 70 Janusz Wróblewski
Objawienie filmowego
sezonu: Ruben Östlund
- 72 **Ulrich Seidl**, autor filmu
„Safari”, o zabijaniu zwierząt
i ludzi
- 74 Piotr Sarzyński
Krótki przewodnik
po polskich parkach rzeźb
- 77 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 78 Marcin Rotkiewicz
Sceptyk, magik,
demaskator – James
„Amazing” Randi
- 80 Justyna Szklarczyk
Wiersze dla dzieci,
które lubią też dorośli
- 82 Rozmowa z promotorem
bokserskim **Andrzejem**
Wasilewskim o zakrętach
kariery boksera
- 84 ZA STOŁEM
Barbara Adamczewska

Na własne oczy

- 92 Artur Domosławski,
fotografie Krzysztof Miller
Prawda zdjęcia,
prawda reportera

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 62 Afisz • 86 Passent
- 87 Chutnik i Plebanek
- 88 Stomma • 89 Tym
- 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy, plusy i minusy
- 98 Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Jest pięknie

Niedawno Beata Szydło w szczerym wywiadzie wyznała, że gdy przebywa za granicą, słyszy głosy. Mówią one, że pod jej rządami Polska jest „pięknym, bezpiecznym, atrakcyjnym krajem”. To piękno i atrakcyjność biorą się stąd, że w Polsce mieszkają Polacy, zaś nieatrakcyjni nie-Polacy nie są do Polski wpuszczani, w wyniku czego w Polsce żyje się normalnie, bez lęku, „że każde wyjście nocą na plażę czy na deptak może się skończyć tragedią”. Nawiasem mówiąc, o atrakcyjności Polski nie świadczy tylko to, że Beata Szydło słyszy głosy na ten temat. Atrakcyjność Polski potwierdziła także gazeta „The Sun”, ujawniając, że brytyjska para książęca zdecydowała się począć swoje trzecie dziecko podczas kilkudniowej wizyty w naszym kraju. Muszę przyznać, że ze strony tej pary jest to szalenie sympatyczny gest, potwierdzający międzynarodową pozycję i znaczenie Polski. Jak wiadomo, samej Polsce pod rządami premier Szydło nie udaje się utrzymać z nikim normalnych stosunków, ale dobrze, że ułatwia ona utrzymywanie stosunków innym.

Oczywiście taka sytuacja nie może się podobać krajom, które też chciałyby być piękne i atrakcyjne, ale niestety nie są, co w społeczeństwach tych krajów rodzi zrozumiałą frustrację. Społeczeństwa te pytają, dlaczego w Polsce pod rządami



Beaty Szydło można żyć normalnie, a u nich strach wyjść nocą na plażę czy deptak? Atrakcyjność Polski budzi w Europie zazdrość, dlatego Polskę usiłuje się wszystkim obrzydzić opiniami, że nie nadaje się ona do UE. Z tym że jeśli rzeczywiście się nie nadaje, bo jest zbyt atrakcyjna, to niech brukselskie elity powiedzą to wprost, a nie szukają na siłę pretekstów w postaci oskarżeń o niewpuszczanie przez Polskę uchodźców czy naruszanie zasad praworządności.

Z programu wicepremiera Morawieckiego oraz Zrozliczonych przepowiedni cytowanych przez portal „Frona” wynika, że w nadchodzących latach atrakcyjność Polski będzie nadal rosła. Polska postawi mianowicie na innowacyjność, wyrwie się z pułapki średniego wzrostu, zaś Niemcy wypłacą Polsce reparacje wysokości biliona dolarów amerykańskich. Z jednej z przepowiedni wynika nawet, że Polska, którą Maryja ukochała najbardziej ze wszystkich krajów, „stanie się źródłem nowego prawa na świecie” i „będą się jej kłaniać narody Europy”. Nie wiadomo, czy wszystkie, ale nawet jak Niemcy czy Francja z powodu naszej atrakcyjności nie zechcą się nam kłaniać, to moim zdaniem mogą nam skoczyć.

EKOBONUS
8 500 zł

grain & salt

GÖTTERSPEISE



MINI ELECTRIC

RUSZAJ W PRZYSZŁOŚĆ Z EKOLOGICZNYM MINI.

Wybierz innowacyjne MINI Countryman plug-in Hybrid lub inny model z rodziny MINI i pocuj frajdę z jazdy z niską emisją spalin. Twoją innowacyjność nagrodzimy ekobonusem w wysokości 8 500 zł brutto*. Zapytaj o szczegóły swojego Dealera MINI lub odwiedź stronę mini.com.pl.

ŻYJ INNOWACYJNIE Z MINI.



* Dopłata dotyczy wybranych modeli MINI. Obowiązuje przy zakupie nowego samochodu z napędem hybrydowym lub spalinowym, z emisją spalin poniżej 130 g CO₂/km wg normy NEDC, dla zamówień podpisanych w okresie od 5 września do 31 grudnia 2017 r. Informacje nie powinny być traktowane jako umowa przedwstępna, zgodnie z art. 389 kodeksu cywilnego, ani jako oferta, zgodnie z art. 66 kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje są dostępne u Dealerów MINI.

Z dopłaty mogą skorzystać użytkownicy samochodów spełniających normę emisji spalin Euro 5 lub niższą, będących w posiadaniu Klienta przez ostatnie 12 miesięcy. Szczegółowe informacje są dostępne u Dealerów MINI.

Zęby rewolucji



Jerzy Baczyński

Onajważniejszym politycznym spotkaniu kończącego się lata nie wiemy prawie nic. Chodzi rzecz jasna o ubiegłotygodniowe rozmowy na szczycie, między Andrzejem Dudą i Jarosławem Kaczyńskim. To było, jak podkreślano, pierwsze spotkanie obu panów od kilku miesięcy i pierwsze po prezydenckich wetach. Charakterystyczne dla dziwnej formuły tego spotkania było i miejsce (rezydencja dla oficjalnych gości głowy państwa), i niejasny protokół (kto do kogo przyjechał), sam tryb (spotkanie państwowe czy partyjne?), nawet brak jakiegokolwiek komentarza uczestników. Na inaugurację sezonu politycznego jesteśmy więc skazani na spekulacje, co też panowie ustalili, bo od tego będzie zależało, co się w naszym kraju wydarzy albo i nie wydarzy. Faktycznie, do czasu wyjaśnienia relacji między Andrzejem Dudą a PiS polska polityka pozostaje w stanie pewnego zawieszenia. Inaczej będzie, jeśli Andrzej Duda zechce naprawdę budować swoją autonomiczną pozycję i „cywilizować PiS” (w co, zdaje się, uwierzyło sporo działaczy opozycji); inaczej, jeśli okaże się, że cała afera z wetami była jedynie formą apelu prezydenta do prezesa i partyjnych kolegów, aby go traktowali nieco bardziej poważnie.

Wsprawie interpretacji szczytu belwederskiego są dwie główne szkoły, może dwie i pół. Pierwsza, chyba większośćowa, przyjmuje, że jeśli panowie rozmawiali ponad dwie godziny, to znaczy, że Jarosław Kaczyński miał dość czasu, aby „niezłomnego” Dudę rozmiękczyć pochlebstwami, apelami do lojalności, do wspólnych wspomnień, do odpowiedzialności za przyszłość formacji itp. I że dogadali ustawkę: prezydent ma wciągnąć opozycję w pozorowane konsultacje nad ustawami sądowymi, nie pokazując żadnego gotowego projektu. Kiedy wreszcie ukaże się projekt dający prezydentowi (z PiS), a nie ministrowi (z PiS), kontrolę nad sądownictwem, zostanie to ogłoszone przez partię i jej media jako „wielki kompromis”, a „konsultowana” opozycja albo wyjdzie na awanturników, albo na głupków. Taka zagrywka – przy okazji dająca pstryczka Zbigniewowi Ziobrze – byłaby bardzo w stylu prezesa. Mniejszościowa interpretacja jest taka, że Andrzej Duda – nawet jeśli prezes próbował go udobruchać – wie, że on sam i jego ludzie muszą się liczyć z bezwzględna karą za bunt, a jego bezpieczeństwo i przyszłość zależą nie tyle od łaski prezesa, co od własnej politycznej siły. Tę może mu zaś dać tylko jakaś współpraca z opozycją i w ogóle gorszym sortem Polaków. Może zresztą, trochę pod przymusem, prezes

udzielił Andrzejowi Dudzie swoistej koncesji na odgrywanie roli męża zaufania opozycji, łagodzącego nerwy ulicy i zagranicy. Czyli: też ustawka, ale bardziej perfidna.

Wspekulacjach pobelwederskich jest jednak i wariant dodatkowy: że wszystko, co ewentualnie ustalono, nie ma wielkiego znaczenia, bo realia nie podlegają uzgodnieniom na szczytach. A liczne sygnały wskazują, że spór taktyczny w obozie władzy jest prawdziwy i coraz bardziej ostry. Po tym, co Zbigniew Ziobro i jego totumfacki Patryk Jaki mówili i mówią pod adresem prezydenta i jego współpracowników, Duda musiałby być rzeczywiście człowiekiem bez krzty ambicji, aby to przełknąć. Szkalująca sędziów akcja billboardowa, na którą partia (bezcześnie) wzięła pieniądze z Polskiej Fundacji Narodowej, też wydaje się formą nacisku, nawet szantażu, wobec Andrzeja Dudy, który, opracowując ustawy sądowe, musi – jak pisali partyjni publicyści – wybrać między obozem patriotyzmu a zdrady. W ogóle, jeśli tzw. prawicową publicystykę traktować jako sejsmograf rejestrujący tektoniczne wstrząsy i napięcia w światku władzy, to trzeszczy na wszystkich połączeniach. Kaczyński–Duda–Macierewicz–Ziobro–Szydło–Morawiecki–Gowin – nie ma dnia, aby ktoś komuś, bezpośrednio lub pośrednio, szpilki w coś nie wbił. Ta „biało-czerwona drużyna” – jak zwykła mówić o swojej ekipie pani premier – przypomina, jeśli już, reprezentację biało-czerwonych z meczu z Danią: każdy gra sobie, chaotycznie, bez taktyki, bez respektu dla kapitana i trenera. Zatroškani czołowi publicyści prawicowi coraz częściej piszą, że władza znalazła się w pułapce radykalizmu, że trawi ją choroba nieufności, że żądza odwetu przyćmiewa polityczny rozum, że pompowanie konfliktu z Unią (wg. prezesa będziemy samotną „wyspą wolności”), a zwłaszcza eskalowanie sporu z Niemcami, jest bezsensowne, bezproduktywne i szkodliwe dla polskiej racji stanu (mamy wrażenie, że odkrywają prawdy, które mogą przeczytać w jakimkolwiek numerze POLITYKI). Do tego dochodzą jeszcze, niesłyszane wcześniej, krytyczne wobec PiS głosy wielu biskupów, choćby ten ostatni, dramatycznie przestrzegający przed cynicznym niszczeniem polsko-niemieckiego pojednania.

Po prawie połowie kadencji rządu, u progu trzeciego sezonu PiS, zdaniem Beaty Szydło, która przejmuje rolę „ust prezesa”, ogólnie wciąż jest super. Jednak coraz bardziej brutalne i absurdałne oskarżenia, jakie pani premier miota pod adresem opozycji, Unii Europejskiej czy protestujących Polaków, zdają się przykrywać nie tylko jej własną niepewność, ale także wątpliwości i poczucie zagrożenia całego obozu. PiS szedł do władzy jako partia rewolucji, z definicji niepodlegająca dotychczasowym prawom i ocenom. To bardzo wygodna forma sprawowania władzy, bo rewolucja i jej „wielkie cele” uświęcają wszelkie, nawet najniebezpieczniejsze, interesy. Ale historia uczy, że w logikę każdej rewolucji, nawet tak niedowarzonej jak pisowska, jest wpisane napięcie między radykałami a tymi, którzy chcieliby już konsumować owoce zwycięstwa, między wciąż żądnymi odwetu a już pragnącymi spokoju i „restauracji”. Wcześniej czy później rewolucja, jak mówił Danton, zaczyna więc zjadać własne dzieci. Niech nie mylą wymuszone uśmiechy; dzieci pisowskiej rewolucji już pokazują sobie zęby.

Jan Koza



© JAN KOZA

Na deptaku i naprawdę

Na Forum Ekonomicznym w Krynicy tradycyjnie mieszają się dwa porządki – ten wyznaczany rytmem oficjalnych dyskusji z tym dyktowanym przez plotki. Na powierzchni mieliśmy nagrodę Człowieka Roku dla **Beaty Szydło**; laudację wygłosił Mariusz Andrzejewski z Uniwersytetu Ekonomicznego, a była to przemowa tak czołobitna, że delikatnie zażenowana wydawała się nawet sama premier. Pod spodem kipiło zaś od wieści o wojnie premier Szydło z Mateuszem Morawieckim o ten symboliczny tytuł; wicepremier miał być podobno zachęcany do rywalizacji przez samego Jarosława Kaczyńskiego. Morawiecki przegrał zaledwie dwoma głosami, choć w kuluarach można było usłyszeć, że wygrana Szydło była przesądzona, a wynik – wtórny wobec decyzji politycznej organizatorów głosowania.

Na powierzchni mieliśmy zapewnienia o wsparciu państwa dla przedsiębiorców, innowacyjności (bardzo modne start-upy zajęły miejsce centrum prasowego) i deklaracje, że cała Polska będzie strefą ekonomiczną. Pod spodem przedsiębiorcy wyrażali zaś obawy, że narastający konflikt z Komisją zaszkodzi ich interesom, i martwili się, że inwestycje rozkręcają się powoli.

Oficjalnie Szydło dziękowała „biało-czerwonej drużynie”, w tym Andrzejowi Dudzie. Deptak żył natomiast jej konfliktem z prezydentem. Duda wyjechał z Krynicy tuż przed przyjazdem premier, ale na posterunku został niekochany w PiS rzecznik Krzysztof Łapiński. Oznajmił, że gdyby Duda chciał rozmawiać o dymisjach w rządzie, to rozmawiałby z prezesem PiS, a nie z Szydło. Odciął mu się marszałek Senatu Stanisław Karczewski, żądając dymisji Łapińskiego. Słowa rzecznika prezydenta były z Dudą uzgodnione i nieprzypadkowe; Dudę zirytował fakt, że premier nie jest w stanie nie tyle zwolnić Macierewicza, co wymóc na nim zaniechania wojny z BBN.

Plotki mają się w Krynicy znakomicie; życie skupia się na kilkusetmetrowym deptaku zamkniętym dla postronnych oraz w kilkunastu pobliskich restauracjach. Tę niewielką przestrzeń zaludnia tłum polityków, ludzi ze spółek Skarbu Państwa, przedsiębiorców, samorządowców, dziennikarzy i piarowców. Szybko poszedł wśród nich hyr, że Szydło pożegna się z fotelom premiera, zwalniając go dla Jarosława Kaczyńskiego, by dać mu taki prezent na rok obchodów stulecia niepodległości. Plotka



© ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

atrakcyjna, ale zdaniem ludzi bliskich prezesowi – nieprawdziwa. Decyzji jeszcze nie było, dopiero po Krynicy zebrali się władze PiS.

Podobnie jest z rekonstrukcją rządu. Po Krynicy fruwało od trzech do pięciu nazwisk zagrożonych ministrów, ale ponieważ ruch kadrowy ma nastąpić nie wcześniej niż w październiku, to wszystko się może jeszcze zmienić; ktoś może spod topora uciec, ktoś pod niego wpaść. Ważą się też kwestie personalno-strukturalne – w ramach przetasowań Morawiecki miałby dostać infrastrukturę, a oddać finanse (np. bliskiemu sobie Zbigniewowi Jagielle). I o tym się mówiło na deptaku.

Atmosfera w Krynicy była w tym roku wyraźnie odmienna niż przed rokiem. Mniej było ostentacji, luksusu, wystawnych imprez spółek Skarbu Państwa, na które z niechęcią patrzył Kaczyński. Prezes tym razem nie przyjechał (wymówił się kontuzją kolana), ale nie zabrakło osób, które mogły zdać mu szczegółową relację. (Prawie) wszyscy się więc trochę pilnowali. WBS

KOMENTARZ

Macierewicz w ogniu



Juliusz Ćwieluch

Antoni Macierewicz poczuł, co to znaczy być ministrem obrony. Zeszły tydzień był dla niego trudny. Pierwsze uderzenie dostał od flanki i to z własnego obozu. Do mediów wyciekła informacja, że jego dymisji domaga się prezydent Andrzej Duda. Konflikt na tej linii zaognił się już od ośmiu miesięcy. Długo tlił się w zaciszu gabinetów,

bo minister nie miał interesu ogłaszać swoich zwycięstw, a prezydent chwalić się porażkami. Odrzucenie zaproponowanych przez ministra nominacji generalskich to pierwsze zwycięstwo prezydenta. Symboliczne, ale bolesne, bo stanowiące realną zapowiedź stordedowania kluczowych dla Macierewicza projektów zmian w systemie dowodzenia. Ich celem jest stworzenie kosztem prezydenta superurzędu o kompetencjach większych nawet niż premiera.

Przyparty do muru resort obrony rozpoczęła skierowaną do własnego elektoratu kampanię mającą wytłumaczyć, kto ma rację. Serię artykułów o pomysłach na zreformowanie systemu dowodzenia zamieszczono w „Naszym Dzienniku”, bo tam trwa walka o rząd dusz.

Prezydent, który kontakt z wojskiem ograniczał do selfie na poligonie, wśród żołnierzy zyskał silnego sprzymierzeńca.

Hurtowo wyrzuceni z armii najlepsi oficerowie powołali właśnie Fundację Bezpieczeństwa i Rozwoju Stratpoints i wygląda na to, że współpraca z prezydentem nie byłaby dla nich czymś niemiłym. To wielki kłopot dla ministra Macierewicza, który od kilku miesięcy konsekwentnie odcina prezydenta Dudę od informacji i kompetentnych oficerów.

Minister Macierewicz docenia chyba skalę zagrożenia. Fundacja zainaugurowała swoją działalność pod nosom ministra Macierewicza na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego w Kielcach. Nie wszyscy dziennikarze mieli szansę to relacjonować, bo minister tak długo przekładał własną konferencję, aż wreszcie jej termin zbiegł się z ogłoszeniem startu fundacji. Dla jej założyciela gen. Mirosława Różańskiego to dobra wiadomość. Jego dziecko ledwo zdążyło się urodzić, a już się go boją. I to nie byle kto.

KOMENTARZ

Niezależne sądy do kasacji. Za sto milionów



Ewa Siedlecka

Debata o reformie sądownictwa sprowadziła się ostatnio do spekulacji, kto kogo: prezydent PiS czy PiS prezydenta. Chodzi oczywiście o zakres reformy, którą ma zaproponować prezydent w swoich projektach nowelizacji ustaw o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa. W zeszłym tygodniu *tour* po mediach zrobił b. wiceminister sprawiedliwości (za Gowina) prof. Michał Królikowski, o którym mówi się, że jest w zespole piszącym zapowiedziane przez prezydenta, po wetach, projekty. Prof. Królikowski mówił o tym, że chce zrealizować pisowskie postulaty metodami zgodnymi z konstytucją.

Jego propozycje rzeczywiście są łagodniejsze niż to, co uchwalił PiS, a zawetował prezydent. Ale czy np. weryfikacja sędziów SN w ogóle może być zgodna z konstytucją? Raz się odbyła – w 1990 r., ale było to w ramach zmiany ustroju państwa. Prof. Królikowski proponuje, by zamiast wyrzucić wszystkich i zatrudnić na nowo tych, których wskaże minister-prokurator Zbigniew Ziobro, po prostu obniżyć wiek emerytalny sędziów z 70 do 65 lat, dzięki czemu będzie się można pozbyć połowy sędziów. Zgodność z konstytucją takiego rozwiązania, jeśli ma dotyczyć urzędujących sędziów, jest co najmniej problematyczna. I na pewno niezgodna z Europejską Konwencją Praw Człowieka, co orzekł Trybunał w Strasburgu w sprawie węgierskiego prezesa Sądu Najwyższego Andrasa Baki, którego w ten sposób pozbył się Viktor Orbán. Prof. Królikowski proponuje też, by kandydatów na sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa przedstawiać mogły posłom m.in. grupy obywateli. Już sobie wyobrażam,

jakich kandydatów przedstawią np. Kluby Gazety Polskiej, Rodzina Radia Maryja czy Stowarzyszenie Ordo Iuris. Są też propozycje do przyjęcia, jak np. ławnicy ludowi i przedstawiciele innych samorządów prawniczych w Izbie Dyscyplinarnej przy SN.

Ale w świetle wydarzeń, które potem nastąpiły, *tour* prof. Królikowskiego wygląda raczej jak jego indywidualna akcja, która ma zwiększyć szanse przyjęcia przez prezydenta jego, a nie innych propozycji. Odbyło się bowiem spotkanie prezydenta z Jarosławem Kaczyńskim (pan prezes pofatygował się do Belwederu). Po tym spotkaniu prezydentki rzecznik Krzysztof Łapiński poinformował, że „obie ustawy [o KRS i SN] będą zgodne z konstytucją i nie będą zawierać błędów, które prezydent wskazał w swoich wetach”. A propozycje ogłoszone przez prof. Królikowskiego stanowią poza te weta wychodzą. W wetach prezydent zakwestionował bowiem głównie zbyt duże uprawnienia prokuratora generalnego wobec SN i KRS i ponowił postulat, by sędziów do KRS Sejm wybierał większością 3/5 głosów. Poza tym Łapiński podkreślił, że prezydentowi zależy na uchwaleniu jego ustaw, co oznacza, że będzie zabiegał o poparcie PiS i zostawia sobie przestrzeń do ustępstw. A wiadomo, że głównym celem PiS jest wymiana składów Sądu Najwyższego i KRS, na którą partia będzie miała decydujący wpływ.

PiS za to już uruchomił ostrzał artyleryjski. Za publiczne pieniądze – pochodzące z przymusowych dotacji spółek Skarbu Państwa na Polską Fundację Narodową – rozpoczął akcję propagandową „Sprawiedliwe Sądy”, która ma promować rządowe pomysły „reformy wymiaru sprawiedliwości”. Zadaniem Fundacji miała być „promocja i ochrona wizerunku Rzeczypospolitej Polskiej oraz polskiej gospodarki w Polsce i poza jej granicami, a także kształtowanie pozytywnego odbioru społecznego inwestycji prowadzonych przez spółki z udziałem Skarbu Państwa”. Tak oświadczył minister skarbu. Statutu Fundacji nie opublikowano, ale można przypuszczać, że kampania w sprawie sądów w tym statucie się nie mieści. To jednak musiałyby stwierdzić minister skarbu, który ma pod kuratelą tę fundację dysponującą dziś budżetem 100 mln zł.

To pierwsza jej inicjatywa. Zapewne ma służyć nie tyle promowaniu pisowskiej reformy (której, na razie, nie ma), ile nagonce na sędziów i sądy. Już pojawiły się billboardy z cytatami z b. prezesa TK Andrzeja Rzeplińskiego: „Niech zostanie, jak było” (w rzeczywistości podczas lipcowych protestów w obronie sądów prof. Rzepliński zacytował zdanie z powieści Giuseppe Tomasiego di Lampedusy „Lampart”: „Trzeba zmienić wszystko, żeby wszystko pozostało po starym”).

Pojawił się też w telewizji publicznej i w internecie spot reklamowy, w którym młodzi ludzie mówią zdania mające mało wspólnego z wiedzą prawniczą i z rzeczywistością. „Ponad 80 proc. społeczeństwa popiera reformę sądownictwa” – czyżby pisowską? „Nie może być tak, że ukradniesz wafelek – i możesz siedzieć” – za kradzież wafelka nie można siedzieć; można dostać karę grzywny, a jeśli się jej nie zapłaci, pójść na kilka dni do aresztu. Dalej jest kontynuacja tej myśli: „A taki sędzia – bach! – pokazuje legitymację sędziowską – i puszczają go wolno”. A wydawałoby się, że takie sytuacje najczęściej dotyczą parlamentarzystów... „Sędziowie sami sobie uchwalają prawo, którym się kontrolują”. Czyżby przepisów o postępowaniu dyscyplinarnym nie uchwałał parlament? I wreszcie: „Nikogo [z sędziów] nie można odwołać”. To brzmi jak postulat, by wrócić do PRL, gdzie sędziów za „brak rękami właściwego wykonywania zawodu” odwoływała Rada Państwa. A to wszystko w około minutowym spocie. Tak się robi ludziom wodę z mózgu.

Tymczasem realna „reforma sądów” à la PiS weszła w życie i minister-prokurator Zbigniew Ziobro zabrał się do wymiany prezesów i wiceprezesów sądów. Organizacje sędziowskie apelują o nieprzyjmowanie przez sędziów posad po zwalnianych przez Ziobrę. Tydzień temu Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Okręgowego w Łodzi przyjęło uchwałę, w której sprzeciwia się wymianie swojego prezesa Krzysztofa Kacprzaka, człowieka, który znakomicie poprawił efektywność pracy tego sądu: „Jedynym celem byłaby wymiana prezesa niezależnego na bardziej dyspozycyjnego” – napisali. Wcześniej kilku sędziów tego sądu odmówiło propozycji ministra-prokuratora, by objęli tę prezesurę. Są jeszcze sądy w Rzeczypospolitej!

Rozwody po polsku

Najwięcej rozwodów w odniesieniu do liczby ludności miało miejsce w Żorach, Chełmie, Gorzowie Wielkopolskim oraz Skierniewicach. Najmniej formalnych rozstań było w Tarnobrzegu, Mysłowicach i Świętobrowicach – wynika z danych GUS. Ze stolic wojewódzkich do rozwodów najczęściej dochodzi w Olsztynie i Poznaniu, a najrzadziej – we Wrocławiu. Główną przyczyną rozwodu deklarowaną przez małżonków jest niezgodność charakterów (ponad 40 proc. wszystkich rozwodów). Kolejne

przyczyny to zdrada lub trwały związek uczuciowy z inną osobą (ponad 21 proc. rozwodów) oraz alkoholizm (17 proc.). Małżeństwa trwają obecnie średnio ok. 14 lat. Z badań wynika, że na przestrzeni lat podwyższa się wiek małżonków podejmujących decyzję o rozwodzie – w 2016 r. statystyczny rozwiedziony mężczyzna miał 41 lat, a kobieta 39 lat. W ponad 2/3 przypadków powództwo o rozwód wnosi kobieta. Natomiast orzeczenie rozwodu z winy żony następuje w niespełną 4 proc. przypadków; wina męża orzekana jest w 16 proc. rozwodów. Najczęściej (ok. 75 proc.) sądy nie orzekają winy. MZ



Głowa pęka od fuzli

Impreza znana z tego, że zwiększa konsumpcję alkoholu i animuje życie towarzyskie członków zarządów spółek Skarbu Państwa, czyli Forum Ekonomiczne w Krynicy, zrodziła w tym roku bulwers polityczny.

Najpierw zatrudnieni komentatorstwem biegli teoretycznie polityczni gorzelnicy uważnie nasłuchujący, jakie bulgoty wydaje z siebie fermentujący w retorcie zacier obozu „dobrej zmiany”, prześcigali się w przewidywaniach, w cóż ten zacier się wydestyluje? Czy krynickim „człowiekiem roku” zostanie premier Beata Szydło, która na kongresie PiS w Przysusze wystąpienia nie miała, czy też wicepremier Morawiecki, który takie wystąpienie miał? W jury tego wyróżnienia zasiadają finansujący Forum prezesi spółek Skarbu Państwa, a to cwane gapy, praktycy gorzelnictwa politycznego, którzy dobrze wiedzą, że wprawdzie wicepremier Morawiecki wielkim strategiem gospodarczej „dobrej zmiany” jest, ale to, czy dalej będą prezesami, zgodnie z ustawą zależy obecnie od premiera. Wprawdzie gala końska „Pride of Poland” w tym roku wypadła nieco wstydlive, ale na gali polskiej dumy gospodarczej Beata Szydło wygrała o pół tła z Mateuszem Morawieckim (stosunek głosów 13 do 11) i skropliła się w postaci krynickiego „człowieka roku”.

Być może znane jest pani premier uroczyste powiedzenie naszych braci Słowian „znajet koszka czyjo mięso jeła” (wie koteczka, czyje mięso żarła), więc gdy tylko się skropliła, wygłosiła akt strzelisty pod adresem wiadomo czym: ja to tylko jestem skromnym kapitanem drużyny „dobrej zmiany”, ale genialnym strategiem, selekcjonerem, trenerem drużyny jest... dobrze wiecie sami kto (uwaga: nie o lorda Voldemorta tu chodzi). No i byłoby tak, jak być powinno, gdyby nie to, że tuż przed wygłoszeniem przez destylat aktu strzelistego kamera telewizyjna uchwyciła, jak prezydent Andrzej Duda instruuje swego rzecznika prasowego Krzysztofa Łapińskiego: „tak powiedz”. To minister Łapiński powiedział do mikrofonu, że gdyby prezydent chciał dymisji ministra Macierewicza, to rozmawiałby o tym z prezesem Kaczyńskim. Dopytywany przez dziennikarzy, że przecież to premier decyduje o składzie Rady Ministrów, rzecznik dopowiedział, że prezydent rozmawiałby o tym z prezesem.

W retorcie zabułgotało tym intensywniej, im bardziej zacier nie wiedział, w kogo ma się skroplić. Najpierw człowiek zaufania sami wiecie kogo (nie o lorda Voldemorta tu chodzi), wicemarszałek Brudziński zaćwierkał na Twitterze, że pani premier wykazała się klasą w przeciwiństwie do sami wiecie kogo (nie o lorda Voldemorta lub prezesa Kaczyńskiego tu chodziło), a następnie oddany już nie wiem komu marszałek Stanisław Karczewski, który sam zatracił orientację, komu ma być oddany, oznajmił, że gdyby był prezydentem, to zdymisjonowałby rzecznika prezydenta. Jakby tego było mało, inny prezydencki minister Andrzej Dera też odniósł się do zleconej przez prezydenta wypowiedzi rzecznika i określił ją jako „niezręczną”. Tu już wszyscy teoretycy gorzelnictwa politycznego pogłupieli, a pogłupieli jeszcze bardziej, gdy wicemarszałek Sejmu i przewodniczący klubu PiS oznajmił, że wypowiedź rzecznika prezydenta jest jak najbardziej w porządku, bo z kim ma pan prezydent naradzać się nad zmianami w składzie rządu, jeśli nie z panem prezesem?

Praktyków – takich jak niżej podpisany – gorzelnictwa politycznego ta sekwencja wypowiedzi nie zadziwiła. Polityka

to bałagan, który na bieżąco musi być porządkowany. Nie ma nic dziwnego w tym, że prezydencki minister Dera zdezawuował prezydenckiego rzecznika Łapińskiego. Prezydent prosto z Krynicy odleciał do Kazachstanu i, zapewne, nie wydał przed odlotem instrukcji okólnej. Nie wydał, bo albo zabrakło mu czasu, i wtedy minister Dera może spać spokojnie – wprawdzie pobłądził, ale złowrogi zamiar za tym nie stał; albo też prezydent instrukcji nie wydał, bo chciał się dowiedzieć, jak się zachowają sami z siebie jego podwładni w chwili ostrego starcia jednej strony „dobrej zmiany” z drugą stroną „dobrej zmiany”. Prezydent bardzo poważa praktykę polityczną śp. Lecha Kaczyńskiego, a Lech Kaczyński poważał praktykę marszałka Piłsudskiego. A to Marszałek na jeździe legionistów w Kaliszu wypowiedział wiekopomne słowa: „Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentur”. Jedna „dobra zmiana” nie może tolerować agentury drugiej „dobrej zmiany”; żaden szef nie może godzić się z tym, że w jego firmie działa inna firma. Jeśli potwierdzi się ta druga hipoteza, to przed ministrem Derą różowej przyszłości nie widzę.

Zamieszanie po drugiej stronie „dobrej zmiany” jest też zrozumiałe. Prezes Jarosław Kaczyński często przywoływał powiedzenie Napoleona, że armia baranów dowodzona przez lwa zawsze wygra z armią lwów dowodzoną przez barana. Problem, który ma lew z baranami, polega na tym, że lew w warunkach polowych nie jest w stanie kontrolować na bieżąco beczenia najbardziej oddanych baranów. Ponieważ już „nie nasz” pan prezydent za pomocą rzecznika zdezawuował „naszą” panią premier, twierdząc, że o składzie rządu można rozmawiać tylko z prezesem, to oddane prezesowi barany zabeczwały, że skandal, jak tak można. Otóż można, bo jeśli pan prezydent ma ustalać skład rządu z panią premier, to gdzie jest miejsce dla pana prezesa? Trzeba było zmienić tonację beczenia wiernych baranów, czyli użyć kamertonu, którym okazał się szef klubu PiS Ryszard Terlecki. Podziało. Po nadaniu przez prezesa tonu kamertonem pani premier wpadła w ton, wypowiadając się tak: „Nie rozumiem tego zdziwienia, że premier rządu stworzonego przez Prawo i Sprawiedliwość ustala kwestie personalne i strategiczne z liderem swojej partii. Martwiłabym się gdyby było odwrotnie”.

W piwowarstwie, winiarstwie, gorzelnictwie rozróżniamy fermentację dolną, wysoką, burzliwą, trójetałową. Ale na koniec dnia zawsze stajemy przed pytaniem: a co zrobić z tym paskudnym niedogonem, obrzydliwymi fuzłami, wstrętnymi aldehydami, które sprawiają, że głowa nam pęka? Albo je neutralizujemy, jak w przypadku koniaku i whisky, przez leżakowanie, ale na to w polityce nie ma czasu, albo odpędzamy. Pierwszą kandydatką do skroplenia się w fuzle jest pani premier, bo komu ona jest potrzebna? Niezależnie jednak, kto zostanie jako niedogon odpędzony, to „dobra zmiana” się upije, a Polska będzie miała kaca. Wiem, co piszę, bo zawsze jak solidnie łyknąłem, to konsekwencje były.



© GETTY IMAGES

Huragan Irma w Fort Lauderdale na Florydzie

To mówi natura Huragany, tornada i pożary pustoszą USA.

Pierwszy raz od 166 lat obserwacji meteorologicznych w ciągu tego samego roku kalendarzowego dwa huragany najwyższych kategorii uderzyły w wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Sierpniowy Harvey był wyjątkowo deszczowy, przyniósł powódzie w Teksasie i Luizjanie. Porywy lry dorównywały najsilniejszym odnotowanym atlantyckim cyklonom. Zanim Irma zmusiła do ewakuacji kilka milionów mieszkańców Florydy, spustoszyła Karaiby, niektóre wyspy doszczętnie, jak mała Barbudę. Co więcej, w tym samym czasie amerykańskie stany położone nad Pacyfikiem i przy granicy z Kanadą gasiły pożary lasów.

Huragany na południowym wschodzie i pożary na północnym zachodzie to sezonowe zdarzenia występujące co roku. Nad Atlantykiem tego może powiać i popadać od początku czerwca do końca listopada, na zachodzie Ameryki Północnej pali się od wiosny i płonąć może do jesieni, jeśli ogień trawy trudno dostępne miejsca. Tyle zasada, która jednak w ostatnich latach zawodzi. Rok 2017 był trzecim z rzędu, gdy atlantycki cyklon uformował się jeszcze przed umownym otwarciem sezonu. Także północnoamerykańskie pożary – m.in. w Kalifornii, Waszyngtonie, Oregonie, na kanadyjskich Terytoriach Północno-Zachodnich i w Albercie – coraz częściej określa się jako rekordowe.

Niewykluczone, że właśnie duet Harvey i Irma uzmysłowi Ameryce, w jakim stopniu dotknie ją postępujące globalne ocieplenie. Nie chodzi o przekonywanie sceptyków (np. prezydent Donald Trump stwierdził, że to wymysł Chin stworzony po to, by ograniczyć konkurencyjność amerykańskiego przemysłu), ile o realne i już odczuwalne skutki gwałtownych zjawisk meteorologicznych, występujących z większą częstotliwością i intensywnością niż w minionych dekadach. Harvey podtopił Houston, metropolię wytwarzającą PKB równe prawie szwedzkiemu. Wartość nieruchomości stojących na szlaku lry oszacowano na 1,73 bln dol.

Oba przypadki są podobne. W Teksasie budowano chaotycznie, a m.in. zasady wypłaty ubezpieczeń nie hamowały zagospodarowania terenu zalewowego. Jest nim także spora część nizinnej Florydy. Półwysep dziś zdominowany przez emerytów, turystów i próbujących na nich zarobić deweloperów, stosunkowo niedawno wydarto w dużej mierze z malarycznych mokradeł. Jak napisał w serwisie Politico Michael Grunwald, jeden z ewakuowanych mieszkańców i autor książki o bagnach Everglades, Floryda jest rajem, którym nigdy nie powinna była się stać. W każdym razie wiele wskazuje, że właśnie Słoneczny Stan, narażony m.in. na podtopienia przez podnoszący się poziom oceanu, szczególnie będzie odczuwał efekty zmian klimatu.

Partyzanci proszą o wybaczenie

Zróbmy pierwszy krok – tak brzmiało motto papieskiej wizyty w Kolumbii. Chodzi o krok ku pojednaniu narodowemu z pomocą wiary. W mieście **Villavicencio**, epicentrum wieloletniego krwawego konfliktu, papież uczestniczył w spotkaniu modlitewnym o zalecenie rany podziałów. Wysłuchał wystąpień stron i ofiar konfliktu: przedstawiciela lewicowo-marksistowskiej partyzantki FARC (o prawdzie), reprezentanta samoobrony obywatelskiej (o sprawiedliwości) i dwu ofiar przemocy (o pokoju i miłosierdziu). To w tym mieście FARC zaatakował przed laty kościół, gdzie przed walkami schroniła się ludność cywilna. Zginęło ponad sto osób. Były przywódca FARC Rodrigo Londono Echeverri, pseudonim Timoszenko, napisał list do Franciszka z wyrazami szacunku i prośbą o wybaczenie krzywd. Nawet jeden z karteli narkotykowych w Medellin (a partyzantka utrzymywała się z handlu opium) pokajał się za grzechy z okazji wizyty.



© APEAST NEWS

Do Kolumbii papież przybył wkrótce po zawarciu przez władze zawieszenia broni z inną partyzantką, ENL. Jest nadzieja, że wojna domowa dobiega końca. Ludzie chcą (s)pokoju, ale także wymierzenia sprawiedliwości sprawcom cierpień i zniszczeń. Głos papieża miał pomóc w tym sporze. Jeśli pomoże, Kolumbia będzie kolejnym po Kubie przykładem efektywności papieskiej dyplomacji.

Podobnych „cudów” spodziewa się Kościół w sąsiedniej Wenezueli, którą w kryzys wtrącił lewicowy prezydent Maduro. Episkopat kolumbijski zaprosił do udziału w mszach papieskich biskupów wenezuelskich. Już milion ludzi uciekło przed rządami Maduro do Kolumbii. Na pokładzie samolotu lecącego do Rzymu do Bogoty (musiał zmienić trasę z powodu huraganu Irma) Franciszek prosił o modlitwy za „piękną stabilizację” sytuacji w Wenezueli.



© REUTERS FORUM

Spotkanie Julii Tymoszenko, europarlamentarzysty Jacka Saryusz-Wolskiego i Micheila Saakaszwilego w Rzeszowie

Z ziemi polskiej

Micheil Saakaszwili, były prezydent Gruzji i były gubernator Odessy, zrobił to, co zapowiedział: sforsował ukraińską granicę na przejściu Medyka–Szeginie, dotarł do Lwowa i kontynuuje marsz na Kijów. A wszystko dlatego, że prezydent Petro Poroszenko pozbawił Saakaszwilego ukraińskiego obywatelstwa, jakie sam nadał mu w 2015 r. Saakaszwili z tą decyzją się nie zgadza, uważa, że to zemsta polityczna ze strony prezydenta. Oświadczył, że będzie bronił swoich praw w sądzie, choćby nawet miał pójść do Strasburga. Były prezydent Gruzji jest dziś poszukiwany międzynarodowym listem gończym, oskarżony o nadużywanie władzy w Tbilisi i sprzeniewierzenie funduszy państwowych.

Z Polski, gdzie ostatnio przebywał, wyjechał na Ukrainę na podstawie posiadanego wciąż ukraińskiego paszportu, bo w bazie Schengen widnieje jedynie adnotacja, że jego paszport został utracony. Odprawiono go warunkowo, pouczając o konieczności wyjaśnienia sytuacji. Ukraińscy pogranicznicy nie chcieli Saakaszwilego wpuścić (zatrzymali nawet w Przemysłu pociąg, którym początkowo zamierzał podróżować), ale oczekujący w Szeginiach zwolennicy przedarli się przez granicę i faktycznie przeciągnęli go na teren Ukrainy, przy słabym oporze pograniczników. Saakaszwilemu towarzyszyli ukraińscy deputowani, a wśród nich była premier Julia Tymoszenko.

Minister spraw wewnętrznych Ukrainy Arsen Awakow zarzuca wszystkim ciężkie naruszenie prawa i grozi postępowaniem karnym. Nie wygląda jednak na to, żeby władzy było na rękę wykreowanie nowego męczennika. Saakaszwili po złożeniu urzędu gubernatora utworzył partię Ruch Nowych Sił, obiecując zdobycie władzy. Domaga się przedterminowych wyborów, zarzuca Poroszenko sprzyjanie Rosji, zaniechanie reform, popieranie oligarchicznych klanów i bezwzględne dbanie o własny czekoladowy biznes. Dziś ta partia i jej szef mogą liczyć na dwuprocentowe poparcie. Czy Saakaszwili może jeszcze odegrać istotną rolę w ukraińskiej polityce? Widać, że bardzo by chciał.

Węgry wystawiają rachunek

Orbán chciałby, żeby Unia zapłaciła Węgom za płot przeciw uchodźcom.

W uprzejmym liście, obszernie nagłościonym w miejscowych (wyłącznie prorządowych) mediach, premier Viktor Orbán wystąpił do przewodniczącego Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera, aby Unia „w ramach solidarności” zwróciła Węgom 440 mln euro. Chodzi o czterometrowe metalowe ogrodzenie, jakie Węgry wybudowały w 2015 r. na granicy z Serbią i Chorwacją – przeciwko fali uchodźców. Orbán komplementuje tę konstrukcję, „dostarczoną w większości przez firmy węgierskie”, chwali kamery termowizyjne, czujniki ruchu i wieże strażnicze naszpikowane elektroniką. A ponieważ ogrodzenie „nie chroni jedynie naszego kraju, lecz także całą Europę” przed nielegalnymi imigrantami

i groźbą terroryzmu, „nie będzie przesadą powiedzieć, że bezpieczeństwo obywateli Europy zostało sfinansowane przez węgierskich podatników”. Stąd „rozsądny” – jak pisze Orbán – wniosek, aby koszty podzielić po połowie: połowę rząd węgierski, połowę Unia.

Termin wysłania listu nie był przypadkowy, po spotkaniach prezydenta Macrona z przywódcami środkowej Europy (wśród których zabrakło Węgier i Polski), a przed decyzją unijnego Trybunału Sprawiedliwości, który oddalił skargę Słowacji i Węgier przeciwko relokacji uchodźców. Orbán wykonał krok uprzedzający pod potrzeby domowej publiczności, bo Brukseli już chyba nawet nie zirytował. Ten etap ma ona za sobą.

hasztag ma 10 lat

Znaczek # spoczywał nieużywany gdzieś na marginesie klawiatury, dopóki **Chris Messina** – ledwie 10 lat temu – nie zaproponował, aby za jego pomocą grupować wiadomości. Tak, w pionierskiej epoce Twittera, narodził się hasztag. Czyli (komu to trzeba dziś tłumaczyć?) słowo lub ich ciąg, poprzedzone symbolem #, ułatwiającym organizowanie informacji i ich wyszukiwanie.

Dziś na samym Twitterze 328 mln użytkowników wystukuje # 125 mln razy dziennie. A hasztagów używa także Instagram, Facebook, Tumblr i ponad 140 portali blogowych. #, tak jak wcześniej @, stał się jednym z symboli cywilizacji internetu, ale także znalazł sobie ważne miejsce w realu, okazał się idealnym narzędziem organizowania się, uruchamiania inicjatyw, przekazywania emocji. Niepozorny # łączy ludzi i narody. #FollowFriday, od 2009 r., kiedy powstał, użyty został pół miliarda razy, a po prostu przedstawia ludzi i sytuacje, które warto po-



© IMP

znać. #BlackLivesMatter stał się najważniejszą platformą antyrasistowską w USA i daleko poza. #Majdan/#Maidan pomógł dokonać ukraińskiego przełomu. #BringBackOurGirls ratował nigeryjskie licealistki uprowadzone przez Boko Haram. #JeSuisCharlie zmienił się w forum solidarności po zamachu na dziennikarzy. Prezydent Macron, kiedy kolega Trump wycofał się z paryskich porozumień klimatycznych, zatweetował: #MakeOurPlanetGreenAgain, i zyskał tysiące zwolenników. A dosyć idiotyczny #IceBucketChallenge, oblewanie się wodą w celach charytatywnych, zebrał ponad 100 mln dol.

Itylko Chris Messina, kiedyś programista w Google i Uberze, nic na swoim wynalazku nie zarobił. Nie chciał go patentować. Hasztag narodził się w internecie, a tutaj wszystko jest własnością wszystkich – tłumaczył w 10. rocznicę, nie ukrywając wszakże dumy ze swojego dziecka.



© JACEK BEDNARCZYK/PAP

Premier szyta na miarę

RAFAŁ KALUKIN

Gdyby szefowa polskiego rządu nagle zniknęła, pewnie mało kto by to zauważył. Nie wnosi niczego własnego, jest figurą zbędną. Ale to właśnie kieszonkowy format Beaty Szydło jest jej największym atutem.

Okutany islamista z kałachem, przestraszona Merkel, ponury Tusk i buńczuczny Macron. Za ich plecami wtopieni w tło obcy o śniadych, wykrzywionych wściekłością obliczach. Oto pogrążająca się w chaosie Europa. Ale na szczęście jest ona. Na głównym planie, w karminowym kostiumie, z nieodłączną broszką. Dumnie spogląda w obiektyw. Prawa dłoń zaciśnięta w pięść dostojnie opiera się na lewej. Okładkowy slogan „Nie złamią nas” zapowiada sześciokolumnowy wywiad z Beatą Szydło w tygodniku „Sieci Prawdy”.



Monotonne mantry premier Szydło („gospodarka się rozpędza, ludzie mają pracę, Polska jest pięknym i bezpiecznym krajem”) muszą „zwyktemu Polakowi” dawać szczególne ukojenie. W tej roli nigdy nie wyręczy pani premier ani bankowiec i milioner Morawiecki, ani żoliborski rewolucjonista Kaczyński.

Premier Beata Szydło z mężem Edwardem i synem Tymoteuszem w drodze na mszę

W tym samym tygodniu pani premier – znów w karminowym zakcie – odbiera w Krynicy nagrodę Człowieka Roku. Tym razem w roli symbolu potęgi polskiej gospodarki. Beznamiętnym tonem powtarza wytarty do spodu frazes o „biało-czerwonej drużynie”. Wspominając – który to już raz? – „kampanijne szlaki” sprzed dwóch lat. Mimo że polska polityka właśnie żyje spektakularną bijatyką ówczesnych drużynowych.

Zgodnie z pisowskim rytuałem podziękuje też „panu premierowi” Kaczyńskiemu, bez którego wizji i determinacji nie byłoby tych wielkich zwycięstw. Każdy inny na jej miejscu akurat teraz darowałby sobie grzecznościowego „pana premiera”. Kilka chwil przed uroczystością prezydencki rzecznik Krzysztof Łapiński oświadczył dziennikarzom, iż o obsadzie MON i innych ministerialnych stanowisk głowa państwa może rozmawiać jedynie z Kaczyńskim. Z miejsca czyniąc nagrodę dla Szydło zjawiskiem memicznym.

Ileż wyrzeczeń potrzeba, aby w milczeniu znosić afronty i udawać, że świeci słońce? I jakiż to kontrast między aranżowanymi twardymi pozami i bijącą po oczach bezradnością szefowej rządu? Ile znaczy „nie złamię nas” w ustach osoby złamanej?

W rankingach zaufania znajduje się w czołówce, choć konkurencja tu raczej mierna. W podzielonej Polsce jedynie prezydent Duda (i to dopiero po ostatnich wetach) może liczyć na minimum akceptacji po drugiej stronie barykady.

Poparcie dla premier Szydło nie ulega większym wahaniom, stale mieszcząc się w przedziale 45–50 proc. (według CBOS). Nieco lepiej od pani premier – zwykle o kilka punktów procentowych – oceniany jest cały rząd. I nic w tym dziwnego, skoro na czele jednego z najbardziej wyrazistych gabinetów III RP stoi bodaj najmniej wyraźny jak dotąd premier. Sama Szydło zna swoje miejsce, określa się kapitanem rządowej drużyny, a selekcjonerem jej zdaniem jest Jarosław Kaczyński.

Wielka nieistotna

Względna osobista popularność Beaty Szydło jest funkcją popularności rządów „dobrej zmiany”. Nie stanowi już zatem istotnej wartości dodanej. Wyborcy PiS niemal jednogłośnie akceptują ją na stanowisku. Ale już tylko co trzeci zwolennik Kukiza. Wśród niezdecydowanych bądź niegłosujących Szydło ma mniej więcej tylu zwolenników, ilu przeciwników.

W coraz większym stopniu traci polityczne znaczenie – wypełnia pewne miejsce, ale nie jest figurą. Tyle że koordynuje administracyjną rutynę i prowadzi posiedzenia rządu. Strategiczne centrum polityczne mieści się jednak poza jej kancelarią. Podejmuje gości z zagranicy i uczestniczy w unijnych szczytach, lecz realizuje tam narzucone wytyczne. Kluczowe spotkania na najwyższym szczeblu już poza protokołem dyplomatycznym odbywa prezes Kaczyński.

Gabinet Szydło to mozaika księstw we władaniu lenników prezesa. Oficjalna hierarchia tworzy fikcję. Rząd od dawna rozdzielany jest wewnętrzną rywalizacją ministrów Morawieckiego i Ziobry. Suwerenny premier rozstawiłby towarzystwo po kątach. Ale pani kapitan wchodzi w sojusz z podlegającym jej ministrem sprawiedliwości, aby zneutralizować również podległego, choć de facto znacznie bardziej od niej wpływowego wicepremiera. Sama, jak się wydaje, w miarę samodzielnie zarządza głównie dwoma resortami: pracy i edukacji.

Pytana o drażliwe kwestie, zazwyczaj wykręca się sianem. Zawsze ma w zanadru gotowe formułki („Macierewicz ma wrogów, bo się naraził wpływowym grupom interesów”). Gdy dochodzi do ewidentnego skandalu (jak ostatnio z Autosanem), premier prosi, aby „dać czas oficjalnym organom na wyjaśnienie sprawy”.

Bezradność Beaty Szydło najpełniej objawia się jednak wtedy, gdy pojawia się hasło rekonstrukcji gabinetu. Powraca zresztą regularnie, bo od czasów Tuska to najskuteczniejszy sposób sprowokowania medialnego szumu w celu odwrócenia kota ogonem; w scentralizowanych systemach obsada ministrów przeważnie jest kwestią drugorzędną. Powiada wtedy pani premier, że zmiany personalne są naturalne, dziś jednak nie ma potrzeby ich przeprowadzania, choć w przyszłości, kto wie, taka potrzeba może zaistnieć.

O tym jednak jest w stanie przesądzić tylko i wyłącznie Jarosław Kaczyński. To prezes ma monopol na recenzowanie ministrów, z czego korzysta intensywnie. Jak na czerwcowym kongresie PiS, gdy Beacie Szydło pokazano tylko krzesło, z którego mogła klaskać. Bez prawa do zabrania głosu.

Koniec końców to jednak ona, a nie prezes, musi potem publicznie objaśniać absurdy pisowskiej hierarchii. Słyszmy wtedy, że konsultacje kluczowych decyzji z szefem rządzącego ugrupowania to objaw zdrowej demokracji. „Martwiłabym się, gdyby było odwrotnie. Gdyby prezes nie pytał, co ja tam robię, to byłaby oznaka naprawdę dużych kłopotów” – dodawała ostatnio z gorliwością prymuski. ▶